



FOT. ANNA GRMIELEWSKA

Radek Kucharski

## Zgubiona latarka i złamany ząb

– Tak sobie przyszedłeś czy coś się stało? – spytała Magda, doktor stomatologii. Znamy się od kilkunastu lat, od mojej pierwszej długiej podróży do Azji, kiedy zadbała o to, bym w Indiach nie musiał iść do dentysty. Od tamtej pory żadnemu innemu lekarzowi nie pozwalam dotykać moich zębów. Mój grymas na twarzy mówił wszystko, nie trzeba było odpowiadać. – Tylko nie mów, że to ta prawa górna szóstka! – usłyszałem. Tak, to była ta szóstka. Ząb z historią, ratowany wielokrotnie. Taki, na który miałem uważać.

– Pamiętasz drogę? – spytał Dordże, gospodarz z Ursi, gdy zbierałem się do wyruszenia. Coś tam pamiętałem, ale niedokładnie. – Musisz skręcić w boczną dolinę – dodał i coś jeszcze wyjaśnił.

Ursi leży niedaleko popularnego szlaku Padam–Lamajuru w Ladakhu. To mała, niezbyt często odwiedzana, ale niezwykle malownicza wieś. Uroczą zwłaszcza jesienią. Leży, jak na Ladakh, niezbyt wysoko, na wysokości około 3660 metrów n.p.m. Tuż za nią wyrasta mur: grzbiet strzelistych szczytów oddzielający dolinę rzeki Japoli (Yapola) – za mną – od doliny Indusu na północy. Wznosząca się na 4946 metrów n.p.m. Tar La to najniższy okoliczny punkt na tej grani – przez tę przełęcz prowadzi najkrótsza, choć na pewno nie najprostszą, drogą z Ursi do doliny Indusu i dalej, do stolicy regionu Leh. Sporo stromego podchodzenia na znacznej wysokości. Za przełęczą ścieżka prowadzi niemal pionowym, sypiącym się zboczem, a później kamienistym dnem doliny – długa, nużąca droga w stronę pierwszej wsi, Tar, położonej prawie 1600 metrów niżej niż przełęcz.

To była moja druga wizyta w Ursi. Pięć lat wcześniej kończyłem tą trasą długi, samotny trekking z Padamu, kombinowaną nieco trasą przez Lingszed\*, przełęcz Barmi, moją ulubioną, mocno izolowaną wieś Dibling, przełęcz Kandzi, Szilakong, aż do Alci, gdzie zacząłem wtedy wędrowanie. Tym razem to był kolejny trekking w sezonie. Ostatni, bo zamarzanie wody w butelce leżącej w nocy w środku namiotu jednoznacznie wskazywało na to, że czas się zbierać. Wolałem spać u ludzi, w gospodarstwach. Było odrobinę cieplej, nie trzeba było gotować, a przede wszystkim rano składać namiotu, co powodowało, że szybciej się zbierałem.

Pamiętałem Dordża i jego rodzinę. Miałem ze sobą zdjęcia zrobione podczas poprzedniej wizyty. Trzech chłopaków – wtedy kilkuletnich – teraz było nastolatkami. Dwóch z nich mieszkało w internatach szkolnych daleko od rodzinnej wsi. Miło mi było, że gospodarze też mnie pamiętają.

Ruszyłem. Przy pożegnaniu Dordże jeszcze raz przestrzegł mnie, bym nie pomylił drogi. I oczywiście: pomyliłem! Poszedłem wyraźną ścieżką prowadzącą dnem głównej doliny. Minąłem kluczowy skręt. Doszedłem do pastwiska, zamkniętego stromiznami, z przełęczą wysoko nade mną. Może trzeba było zawrócić do Ursi i spróbować kolejnego dnia. Ale wróciłem tylko do rozwidlenia, do miejsca, w którym powinienem był skręcić.

Znów stromo w górę. Mozolna wspinaczka, a później morze wierzchołków widoczne z przełęcz. Góry Zaskar i główna grań Wysokich Himalajów za mną, dolina Indusu, pasmo Ladakh, a dalej Karakorum



Para gospodarzy ze wsi Tar podczas mojej styczniowej wizyty

– przede mną. Stromizna i wąskie ścieżki zakosów podejścia i drogi w dół powodują, że to szlak niechętnie obierany przez właścicieli jucznych koni – nie jest więc często odwiedzany. Nikogo nie spotkałem.

Nie chciałem spać w namiocie, jak poprzednim razem. Chciałem dojść do wsi Tar. Zdawało mi się, że to tuż, tuż, za zakrętem. Ale za nim był kolejny, a później następne połączenie strumyczków i jeszcze jeden skręt. Wciąż niewygodnie, bez wyraźnej ścieżki, kamienistym dnem. Zmierzchało, a we mnie rosło zniecierpliwienie i złość o to, że pomyliłem drogę na przełęcz, przez co podejście zabrało mi tak dużo czasu. Ignorowałem narastającą ciemność – nie chciałem tracić czasu na zatrzymanie się i wyciąganie latarki.

Duża dolina z prawej, która wydała się jakoś znajoma. Tak! Są pierwsze pola uprawne! Do wsi musi być niedaleko. W szarówce zauważam kobietę z koszem na plecach, najpewniej wracającą z pracy w polu.



FOT. ZK. RADEK KUCHARSKI

Widok z przełęcz Hibt (ok. 4161 m n.p.m.) w Środkowym Ladakhu: dolina Indusu, za nią pasmo Ladakh i dalej Karakorum

– Dżule! – pozdrawiam ją w lokalnym języku i uśmiecham się. Po chwili pytam, czy dochodzimy do Taru. Kobiecie nie zamykają się usta. Nie rozumiem ni w ząb tego, co mówi, a ona zdaje się ignorować moje znaki mające wskazywać, że nie mówię po ladakhijsku. Już we wsi pytam o homestay, czyli nocleg. To generuje kolejny potok niezrozumiałych dla mnie słów, ale i gest jasno wskazujący, że mam iść za nią.

Nowy, ładnie zaaranżowany dom. Zakwaterowano mnie w sporym pokoju z dużymi oknami. Kilka materaców, przy nich małe, tradycyjne drewniane ładnie zdobione stoliczki – siedzi się przy nich na ziemi, w siadzie skrzyżnym. Pośrodku koza. W małej kuchni reszta rodziny robi jakąś kieszonkę ze świeżo zebranych, małych marchewek. Sympatyczny głuchoniemy chłopak, pewnie mniej więcej 18-letni, pokazuje mi dom. Z rodzicami porozumiewam się, korzystając z pomocy jego ciut starszej siostry, która dobrze mówi po angielsku. Wypytyuję o drogę na następny dzień, do wsi Mangju. Już wiem, że na mapach, które mam, jest źle zaznaczona.

Pamiętam, że gadatliwa gospodyni przygotowała mi prowiant na drogę. Na odchodne dostałem jeszcze kilka małych owoców z przydomowej jabłonki – przepysznych. Chłopak odprowadził mnie do granicy wsi i początku podejścia. Do Mangju dotarłem osiem godzin później. Wieczorem okazało się, że nie mam czołówki. Musiałem ją zostawić u gospodarzy w Tarze – trudno, wszak został mi jeden dzień marszu, później miałem jechać do Leh, a potem lecieć do Polski.

Do Taru wróciłem zimą, w styczniu 2014 roku, podchodząc wprost od drogi prowa-

dzącej doliną Indusu. Niezbyt męcząca dwugodzinna wędrowka ładną doliną, po wyraźnej i wygodnej ścieżce. Mroźnie, pewnie około minus 10, ale słonecznie. Granatowe niebo bez chmurki, nagie zbocza, miejscami tylko przyprószone kilkucentymetrową warstwą śniegu. Przed pierwszym domem we wsi kilka kobiet grzeje się na słońcu, dziergając na drutach, rozmawiając i zaśmiewając się co chwila. Wymieniamy pozdrowienia i uśmiechy. Dziewczyny pytają, czy chcę homestay, ale mówię, że znam tu kogoś. Idąc dalej, rozglądam się za zapamiętanym z poprzednich wyjazdów domem przy jabłoni. I nagle słyszę znany mi głos i potok słów. Moja gospodyni sprzed kilku lat wypatrzyła mnie już i mówi coś z daleka, czego oczywiście nie rozumiem.

Wchodzimy do domu, siadam w znanym mi pokoju. Próbuję wytłumaczyć, że nie potrzebuję ogrzewania kozą – w Ladakhu jest bardzo mało drewna opałowego, zimą pomieszczeń praktycznie się nie ogrzewa. Jedynie w kuchni podczas gotowania jest nieco cieplej i dlatego w niej spędza się większość czasu. Na tej wysokości koza czy palenisko bardzo szybko stygną. Nocą w domu jest zwykle kilka stopni poniżej zera.

Z niezrozumiałego dla mnie w większości potoku słów i gestów udaje mi się wyłapać, że syn przeniósł się do Leh, gdzie pracuje jako stolarz. Po chwili na moich kolanach ląduje rodzinny album ze zdjęciami z jego ślubu. Jest jeszcze coś, co kobieta stara mi się wciąż wytłumaczyć, a ja nie rozumiem. Na szczęście niebawem przychodzi gospodarz. Teraz, pod nieobecność córki, bez jej pomocy, udaje mu się składać zdania po angielsku na tyle dobrze, że możemy się dogadać. Wraz z gospodynią

z przejęciem opowiadają mi o latarce. Tak, tej, którą zostawiłem przypadkiem podczas poprzedniej wizyty. Okazuje się, że rodzina bardzo przejęła się tym, że nie będę jej miał. Kolejnego dnia gospodarz zszedł w dół doliny do głównej drogi i pojechał do Mangju, gdzie mnie szukał, by mi ją oddać. Musiał poświęcić na to w sumie dwa dni. Na moje gapiostwo. Na błahą dla mnie sprawę, która jemu wydała się ważna.

Do herbaty dostaję jus z łuskanyimi pestkami moreli. Jus, czyli ziarno jęczmienia. Do tego jeszcze suszone morele. Najbardziej lubię te, które przed suszeniem zostały wydrylowane, a do ich środka schowano migdały. I te, których słońce nie wysuszyło całkowicie i wciąż pozostała w nich odrobina miękkości. Lokalne przysmaki – wszystko uwielbiam!

Trach! Coś w moich zębach zgrzytnęło niepokojąco. Wśród ziarenek jusu było też pewnie ziarenko żwirku. Nagle zrobiło mi się ciepło. Badam językiem niefortunne skutki rozpustnego obżarstwa. Prawa górna szóstka. Rozpadła się. ■

\* Informacja o nazwach geograficznych: te ujęte w wtyczkach Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych zapisano zgodnie z jej zaleceniami. W szczególności dotyczy to nazwy 'Zaskar' zapisywanej w języku angielskim, ale i często w piśmiennictwie polskim jako 'Zanskar'. 'Zaskar' jest zapisem stosowanym przez PWN i w takiej formie użyto go w artykule. Nazwy nieujęte w przywołanym opracowaniu zapisano według własnej propozycji.

Autor tekstu napisał wydany przez Cicerone Press przewodnik „Trekking in Ladakh”. Po Ladakhu wędruje regularnie od 2004 roku. Od pięciu lat pracuje jako pilot wycieczek, prowadząc m.in. grupy trekkingowe po Himalajach Indii i Nepalu. Prowadzi stronę [www.radekkucharski.com](http://www.radekkucharski.com).